



6

1989

JEZUICI NASZE
WIADOMOŚCI

Redaguje zespół: Andrzej Batorski SJ, Tomasz Kot SJ,
Krzysztof Mądel SJ, O. Stanisław Ziemiański SJ

Adres redakcji: ul. Kopernika 26
31-501 Kraków
tel.: 21-31-55

Za zezwoleniem władzy zakonnej
Do użytku wewnętrznego

Druk wykonano w Zakładzie Małej Poligrafii Prowincji Polski Południowej
Towarzystwa Jezusowego „Zaskale” w Krakowie. Oddano do druku 01. 11.
1990.

Na okładce: **Maciej Kazimierz Sarbiewski SJ (1595-1640)**, kaz-
nodzieja i teolog Władysława IV, poeta łaciński uwieńczony w 1623
roku laurem poetyckim, przez papieża Urbana VIII, pozostawił
oprócz dzieł teologicznych i retorycznych liczne liryki wydawane
drukami przez najbardziej znane oficyny wydawnicze Europy. Wiele
miejsca w swej twórczości poświęcił kultowi maryjnemu.

ih̄s

JEZUICI NASZE WIADOMOŚCI

6

1989

SPIS TREŚCI

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ
Spotkania Ignacego z Polską 3

Pierwszym osobistym kontaktem Ignacego z Polską był pseudokandydat do Towarzystwa i związana z nim afera, która byłaby z pewnością interesująca dla miłośników kryminalistyki.

Tomasz Grodecki SJ
Z historii domu gdyńskiego 8

Czyli o tym, co sprawiło, że nowicjusze od dwóch lat wdychają świeży wiatr od morza.

Kościół przed świtem 14

Wywiad z Ojcem Koláčkiem, czeskim jezuitą, który przebywając na obczyźnie pomaga swoim rodakom przetrwać tragiczny czas.

ks. Dieter Scholz SJ

Towarzystwo Jezusowe i uchodźcy (II)

25

Dalszy ciąg relacji o formach pomocy podejmowanych przez Towarzystwo Jezusowe dla uchodźców w różnych rejonach świata.

Andrzej Batorski SJ

Wakacyjny kurs języka angielskiego

29

„Do you speak English?” — czyli krótka informacja o wysiłkach młodych polskich jezuitów wkładanych w uczenie się języków obcych.

ks. Anthony de Mello SJ

Trzej...

32

Ryszard Wtorek SJ

Kairskie notatki

34

Interesujący artykuł młodego misjonarza o złożonej rzeczywistości współczesnego Egiptu

List misjonarza

38

... o tym, jak w czasie świąt Bożego Narodzenia w Syrii śpiewano polskie kolędy.

Informacje

43

Nasi zmarli

48



Zbliżają się ważne dla wszystkich jezuitów rocznice: pięćsetna urodzin Ignacego Loyoli i czterysta pięćdziesiąta założenia Towarzystwa Jezusowego. Z tej okazji zamieszczamy artykuł o akcentach polskich w życiu Ignacego.

SPOTKANIA IGNACEGO Z POLSKĄ

Nie ma potrzeby przypominać o znaczeniu, jakie w przeobrażeniu Ignacego w nowego człowieka, obok *Złotej Legendy*, miała książka Ludolfa Kartusza z Saksonii, *Życie Chrystusa*. Leżał Inigo unieruchomiony w czterech ścianach jednej z komnat rodzinnego zamku w Loyoli. Czas rekonwalescencji dłużył się okropnie rycerzowi przyzwyczajonemu do ustawicznego ruchu. Bezczynność była może większą katogą aniżeli pooperacyjne bóle. Mieszkańcy zamku mieli dostatecznie dużo własnych zajęć i brakowało im czasu na siedzenie bez przerwy u boku chorego, aby zabawiać go rozmową. Brakowało telewizji, radia lub magnetofonu. Jedynym przyjacielem była książka. Unosiła w świat fantazji i pozwalała zapomnieć o straszliwej rzeczywistości. Ignacy prosił więc o lekturę, ale w czasach kiedy w rezydencji rycerskiej cała uwaga skupiała się na zbrojowni, o bibliotece nikt nie myślał. W Loyoli, jak i gdzie indziej, łatwiej było o oręż, aniżeli o książkę. Nie należy się temu dziwić. Nie upłynęło przecież nawet pięćdziesiąt lat od wykonania pierwszego druku w Hiszpanii. Ukazał się on

io qual como el relatafe al mesmo frayle: alegre se en demasia por la nueva de tanta cōsolaciō / 7 fecho mas fuerte en las obras de virtud 7 perseverando en ellas como varon 7 aprouechando 7 creyendo de continuo de virtud en virtud: p se uero en bien sin entrecualo algūo 7 merecio ser saluo. Tuuete agora dios por bien que se animassen muchos en su seruicio por este exēplo / 7 que pudiesen mano a notas bles bechos 7 no desesperrasen ni desfallecissen / porque baziendo lo assi 7 perseverando en este confejor / cierto es que ballarian al soberrano rey muy piadoso.

Siguese la oraciō del actor



Eñor Jhesu xpo juez de los viuos 7 de los muertos suplico te por tu clemencia infinita que tengas por bien de establecer me en el iuzio final a tu diestra 7 haz q me rescas en aquila ora oyr aquila tu muy dulce voz q pmetiste de fazer sonable a tus siervos diziendo Venid be ditos de mi padre 7 recibid el reyno. Suplico te assi mesmo q no entre por mis oras el temor dela otra voz espantable 7 muy mala cō que tienes amenazados a los malos qndo les diras. Yo maloitos al fuego pourable. O vnigenito hijo de dios / aue misericordia de nos otros / porque nūca esperimētemos aquella pena incurable que es caber 7 carecer dela gloria de tu reyno / 7 ser qmados en el abismo ynferral dios mio / misericordia mia. Amen.

Aqui se acaba el tercero volumen del Vita xpi Carthusiano ynterpretado de latin en romance familiar de castilla por fray Ambrosio montesyno de la orden de los frayles menores / por mōdo miento de los xpifamilimos punctes el rey don fernando 7 la reyna doña ysaabel: reyes muy poderosos de España / 7 dio sin otra ynterpracion en la muy grāde 7 muy nōbiada cbbda de Granada en el año de nra reparaciō de mill 7 quientos 7 vno / 7 ynpriūiose en la villa de Alcalá de Henares por mandado de sus altezas / a costa del muy virtuoso 7 liberal señor Garcia d rueda / por arte 7 mano muy artificiosa del muy honrrado 7 yngenioso varō Lancelao del reyno de Polonia / maestro muy pcpuo en el arte ympressoria / 7 dio te sin otra ympressiō a treze dias del mes de setiembre: del año del señor de mill 7 quinientos 7 tres.



Kolofon i sygnet Stanisława ze Sewilli na końcu trzeciego tomu *Vita del Christo*.

dokładnie w tym samym czasie co i pierwsza książka w Polsce, tj. w 1474 r. W tej sytuacji zamek w Loyoli dysponował jedynie dwoma wspomnianymi na początku tytułami. Nie wiadomo po którą Ignacy sięgnął najpierw: może po wydaną w Alkali *Vita del Cristo* ponieważ staranność z jaką została wydrukowana przyciągała wzrok i mimo woli ręka sięgała po to wysokiej klasy dzieło sztuki edytorskiej. Na książce figurował jako drukarz: *Stanislaus del Regno de Polonia*. Dzieło to stanowiło szczytowe osiągnięcie pośród zawsze starannie wydawanych książek przez Stanisława Polaka. Jego kunszt był tak wspaniały, że sam wydawca miał odwagę określić się jako *ingenioso imprimidor* (genialny drukarz) oraz, *maestre muy principuo el arte ympresoria* (mistrz pierwszorzędnym w sztuce wydawniczej).

Jeżeli daty coś znaczą i chcemy dopatrywać się związków zamierzonych przez Opatrzność, to pierwszą swoją książkę wydał Stanisław Polak w Sewilli w r. 1491. Jest to rok narodzin Iníga. Wśród licznych książek drukowanych przez Stanisława Polaka znajdowały się i te, o które dopraszał się Ignacy: dzieło Marco Polo oraz pozycje beletrystyczne rodzimych pisarzy hiszpańskich.

Dwadzieścia lat czekała wydana z wielkim zaangażowaniem i umiłowaniem kunsztu drukarskiego, książka, dzieło sztuki poligraficznej przybyśsza z dalekiej krainy. Trafiała jednak wreszcie w odpowiednie ręce i stała się kamieniem węgielnym w budowaniu Królestwa Bożego przez Ignacego i spadkobierców jego *Ćwiczeń Duchownych*. Dziwne są czasami związki przyczynowe. Jedno jest pewne: zapomniany drukarz pochodzący z Polski miał swój fundamentalny udział w przyszłej działalności Towarzystwa Jezusowego. Rozczytując się w dziejach ziemskiej działalności swojego Mistrza, nie mógł Ignacy nie zauważyć na jednej z kart ozdobnego sygnetu z wielką literą „S” i podpisem pod nią „Polonus”. Poza tym jednak wiadomości teoretycznych o Polsce nie posiadał Ignacy zbyt wiele. Po pierwsze brakowało odpowiedniej literatury, a po wtóre był on człowiekiem czynu. Większość informacji czerpał z praktyki życia, a nie przez studia. Nawet dzieło

Kopernika było przypuszczalnie nieznane Ignacemu, ponieważ na zachodzie Europy prawie nikt się tym nie interesował. W innych zaś dziedzinach wiedzy Polacy nie mieli wówczas liczących się osiągnięć.

Pierwszym doświadczalnym zetknięciem się z Polską był pseudokandydat do Towarzystwa i związana z nim afera, która byłaby z pewnością szerzej omówiona, gdyby ktoś chciał napisać historię kryminalistyki!

Wiosną 1550 r. zjawił się w Rzymie trzydziestolatek podający się za Floriana Roliza, szlachcica z Warszawy. Człowiek wykształcony, znający języki łaciński, grecki i hebrajski, legitymujący się stopniami akademickimi zdobytymi na wydziałach w Lowanium, zapragnął wstąpić do Towarzystwa. Po odbyciu kilku rozmów z O. Janem de Polanco został przez Ignacego skierowany do Palermo na Sycylii, gdzie miał odbyć nowicjat. Swoją erudycją tak zaimponował jezuitom w rzymskim domu profesów, że zgodzili się pożyczyć dla niego u któregoś ze znajomych niebagatelną sumę 50 dukatów pod sfalszowany list zastawny, który mieli zrealizować w Antwerpii. Pieniądze te były Rolizowi rzekomo potrzebne na odprawienie służącego z powrotem do Polski. Sam Roliz wysłany w niedzielę 4 maja w którymś towarzystwie do Palermo, nigdy tam nie dotarł. Mając kapitał w kieszeni, w Neapolu zniknął z oczu towarzyszowi podróży. Pojawił się natomiast w Coimbrze w Portugalii, później w Hiszpanii, gdzie jako kandydat do Towarzystwa wyłudzał następne, zawsze okazałe sumy pieniężne oraz listy polecające od rektorów zauroczonych rzyżym i jękającym się, ale wymownym oszustem. Florian Susliga Roliz - według relacji Henryka Barycza w książce *W blaskach epoki Odrodzenia* - był człowiekiem ciekawym świata, a ponieważ nie stać go było na kosztowne podróże, korzystał z daru pozyskiwania sobie sympatii otoczenia, jakim obdarzyła go natura nad wyraz obficie. Zanim dotarł do Rzymu przez kilka lat zwodził w Genewie Kalwina, któremu obiecywał protestantyzację Polski. Gdy na skutek łańcucha popełnionych nadużyć musiał opuścić Szwajcarię, wybrał się do Włoch. Ostatecznie

do klęski przysłużyli mu się jezuiti. Po jego wyczynach w domach Towarzystwa rozesłano za nim „listy gończe”. Po sześciu latach (na miesiąc przed śmiercią Ignacego) dostał się w ręce sprawiedliwości i zakończył w ten sposób włóczęgę po Europie. W czerwcu 1556 zjawił się w kolegium w Ferrarze, gdzie został rozpoznany i przekazany w ręce władzy świeckiej. Nie wiadomo, jaka spotkała go kara. Słuch o nim zaginął.

Po smutnych doświadczeniach z wydrwigroszem, następnym poważniejszym kontaktem Ignacego z Polską była wyprawa do państwa Jagiellonów Alfonsa Salmerona, który zjechał do Polski jesienią 1555 r. u boku nuncjusza papieskiego bpa Alojzego Lippomano. Pobytem w naszym kraju nie był Salmeron zachwycony od samego początku. Porównywał go do Irlandii, która nie cieszyła się dobrą sławą. Podróż przez Warszawę do Wilna uznał za prawdziwy czyściec, w którym odpokutował za wszystkie grzechy i zyskał odpust zupełny. Uskarżał się przy tym na brak wina, a polskie piwo uznał za podlejsze niż woda w Tybrze. Resztę dopełniło cierpkie przyjęcie legacji papieskiej przez Zygmunta Augusta oraz sroga zima, na skutek której Salmeron odmroził sobie nogi. Wszystko to razem sprawiło, że obraz Polski, jaką ujrzał Ignacy oczami Salmerona nie był najlepszy.

Nie przeszkodziło to Ignacemu marzyć o wysłaniu jezuitów do Polski, gdzie śniło mu się podźwignięcie z upadku wszechnicy Jagiellonów oraz zakładanie domów, z których można by kierować ludzi na misję do Tatarów. Pragnął mieć w Rzymie zdolnych Polaków, którzy by w przyszłości położyli fundament pod placówki Towarzystwa w dorzeczu Wisły. Nie doczekał jednak chwili, kiedy w murach jezuickiego nowicjatu na Kwirynale znaleźli się Stanisław Kostka, Stanisław Warszewicki, Piotr Skarga, Jakub Wujek i inni.

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ



W 2 numerze naszego periodyku zamieściliśmy historię polskich domów nowicjackich: klasztoru w Starej Wsi i Kaliszu. W 1987 roku nowicjat prowincji Wielkopolsko - Mazowieckiej został przeniesiony z Kalisza do Gdyni, do nowo wybudowanego kolegium. Jednak nowy i obszerny budynek nowicjatu to jeszcze nie cała historia gdyńskiej placówki...

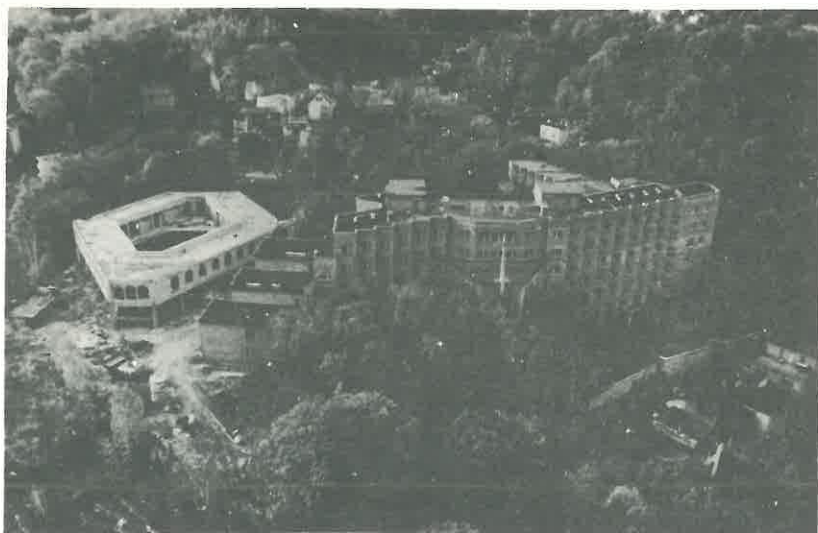
Z HISTORII DOMU GDYŃSKIEGO

Historię naszej placówki w Gdyni można by nazwać historią wielkich planów i prowizorek. Zaczęła się ona w połowie lat trzydziestych, kiedy to budowniczy Gdyni, minister Eugeniusz Kwiatkowski, wychowanek gimnazjum chyrowskiego, poprosił ówczesnego prowincjała, O. Stanisława Sopucha, o założenie w Gdyni zakładu wychowawczego na wzór Chyrowa czy Wilna dla młodzieży z Pomorza. W 1935 roku O. Sopuch wysłał do Gdyni „w ciemno” O. Alojzego Chrobaka, który ma się zająć znalezieniem najodpowiedniejszego placu do budowy kolegium. Początkowo mieszka on u gdyńskiego dziekana, ks. Teodora Turzyńskiego, przy ul. Świętojańskiej, a potem, już po wyszukaniu miejsca na dom, w wynajętym trzypokojowym mieszkaniu. Pierwszym brany pod uwagę miejscem na kolegium była Kamienna Góra. Nie przypadła jednak naszym ojcom do gustu, gdyż znajduje się tuż nad

morzem, otwarta na wszelkiego rodzaju wiatry i przeciągi, a co gorsza nie było tam wtedy miejsca do spacerów. Dużo lepszy plac zaproponował jezuitom były wójt gdyński, Jan Radtke — dwuhektarową działkę położoną niemal na skraju lasu, ponad miastem, na wzgórzu o wysokości 60 m nad poziomem morza. Tu już nie było mowy o przeciągach czy o braku miejsca do przechadzek - lasem można dojść w jedną stronę do Wejherowa, w drugą do Gdańska.

O. Chrobak dozoruje teraz podpisanie kontraktu, które następuje 15 października 1935 roku. Prawie cały teren otrzymujemy jako darowiznę Komisariatu Rządu, za pozostałą część prowincja płaci około 14000 zł. Kilka dni wcześniej O. Sopuch poświęcił pierwszą rezydencję w Gdyni - owe trzy pokoje z kuchnią wynajęte u państwa Malinowskich nieopodal ul. Tatrzńskiej, przy której znajdował się teren przyszłej budowy. O. Chrobak jako pierwszy superior zajął się gromadzeniem materiałów budowlanych, jednocześnie trwało opracowywanie planów przejściowego domu i prowizorycznej kaplicy. Są one gotowe w 1936 roku, a ich autorem jest inż. Majewski. Dwom mieszkańcom trzypokojowej rezydencji - O. Chrobakowi i Br. Antoniemu Krokowi nuży się jednakże powoli codzienne chodzenie na Mszę św. do miasta, płacenie 150 zł komornego miesięcznie i ciągła prowizorka. Mając gotowe plany, materiał i przysłowiowego „węża w kieszeni”, O. Chrobak decyduje się prosić O. Prowincjała o pozwolenie budowania domu tylko z ofiar okolicznych mieszkańców. Pozwolenie takowe otrzymuje i w połowie sierpnia 1936 roku budowa rusza. Mimo licznych problemów z pieniędzmi, m.in. na wypłaty dla robotników, dzięki ofiarności Gdynian już po pół roku dom i kaplica zostają ukończone i ks. bp Okoniewski może je poświęcić 31 sierpnia 1937 roku.

Dom i kaplica mają charakter tylko przejściowy. W dalszym ciągu trwa gromadzenie materiałów do budowy znacznie okazalszego kolegium, gdy nieoczekiwanie właścicielka gimnazjum w Orłowie, pani Zegarska, prowadząca je samotnie po



Kolegium gdyńskie w trakcie budowy

(*fol. Cz. Kozłowski SJ*)

śmierci męża, zwraca się do jezuitów z prośbą o przejęcie jej szkoły w dzierżawę. Rozpoczynają się pertraktacje, a o tym, że nie były łatwe najlepiej może zaświadczyć depesza, którą dnia pewnego O. Sopuch przysłał prowadzącemu rozmowy O. Chrobakowi: „Skończyć z tą babą - nie dogadamy się!” Adresat przekazał w nieco łagodniejszej formie treść tej depeszy doktorowej Zegarskiej, a przez „osoby trzecie” dał jej do zrozumienia, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie do Warszawy i porozmawia z samym prowincjałem, co też się stało i od nowego roku szkolnego 1937 / 38 orłowskie gimnazjum przeszło w ręce jezuitów. Tym samym nowo zbudowany dom na Działkach Leśnych stał się rezydencją profesorów, którzy choć niezadowoleni z jego wielkości mogli docenić opatrnościową przesadę i rozmach w budowie.

Pierwsza matura w orłowskim gimnazjum miała miejsce w 1939 roku, który w historii gdyńskiego domu zapisał się tragicznymi zgłoskami. W październiku Niemcy zorganizowali „spotkanie duszpasterskie”, które okazało się najzwyczajniejszą łapanką. Wszyscy ojcowie z rektorem O. Józefem Konewckim, dwóch braci i jeden scholastyk, którzy na owo spotkanie się udali, zginęli w lasach koło Piaśnicy. Ocalał z całego domu tylko jeden brat, który na spotkanie nie poszedł. Odtąd placówka przy Tatrzańskiej służyła za kwaterę Straży Pożarnej, górka przed domem stała się stanowiskiem artylerii przeciwlotniczej, a materiały zebrane do budowy „pomorskiego Chyrowa” posłużyły zapewne do umacniania wielkości „Tysiącletniej Rzeszy”

Po wojnie zdewastowany dom przejął O. Brunon Pawelczyk i już od 1945 roku rozpoczęła się praca w Orłowie. Szkoła prowadzona przez ojców, dojeżdżających co dzień rozklekotaną ciężarówką pod wodzą nowego rektora O. Paulina Zabydra, przetrwała w nowej rzeczywistości dwa lata. Wraz z przejściem gimnazjum przez państwo zakończył się pierwszy akt historii domu gdyńskiego. Prowizoryczna kaplica stała się kościołem parafialnym, obok wyrósł barak mieszczący tymczasową kaplicę i salki katechetyczne. Nastął czas szarej pracy parafialnej.

Zdawać by się mogło, że Gdynia spadnie do roli długoplanowej placówki Towarzystwa w Polsce. Jednak „tempora mutantur” i dla domu gdyńskiego nastały lepsze dni. Łączyło się to bezpośrednio z faktem, iż od pewnego czasu poszukiwano terenu, na którym można by zbudować nowy dom formacyjny i przenieść tam nowicjat z Kalisza, leżącego w rejonie kiepskim, tak pod względem klimatycznym jak i geograficznym. Wśród propozycji pojawił się m. in. Rostków, miejsce urodzin św. Stanisława Kostki, lecz na początku lat 80 - tych, za prowincjalatu O. Zygmunta Perza, zdecydowano, że najlepiej będzie wykorzystać dwuhektarową działkę przy

ulicy Tatrzańskiej 35 w Gdyni. Tak oto plac pod wymarzony przez ministra Kwiatkowskiego zakład wychowawczy miał stać się placem pod nowicjat, dom rekolekcyjny, a przy okazji i nowy kościół dla pięciotysięcznej parafii.

Od końca 1981 roku zaczęło się zbieranie materiałów, choć jeszcze brakowało szczegółowych planów, a co ważniejsze, zezwolenia na budowanie. To ostatnie pojawiło się w lipcu 1982 roku, a szczegółowe plany konstrukcyjne, opracowane przez inż. Janusza Kowalskiego, dogoniły rozpoczętą już budowę w 1984 roku. Sama budowa rozpoczęła się w maju 1983 roku. Kierował nią początkowo O. Władysław Kaszycki, który znalazł się w Gdyni już rok wcześniej, a jego pomocnikiem w tym dziele był Br. Stanisław Tomaszewski; od marca 1984 roku dyrektorem budowy jest O. Stefan Cesarczyk.

Spróbujmy teraz pokrótce opisać kolegium i kościół, pod które kamień węgielny (z Rostkowa) poświęcił 25 września 1983 roku ordynariusz chełmiński bp Marian Przykucki. Dom, którego pierwszym rektorem został pełniący jednocześnie funkcję magistra nowicjatu O. Czesław Kozłowski, erygował w święto Ignacego Loyoli 31 lipca 1987 roku generał zakonu O. Peter-Hans Kolvenbach. Jest to pięciokondygnacyjna bryła uformowana w kształt litery L, o łącznej powierzchni użytkowej przekraczającej 5000 m² i kubaturze ponad 25000 m³. Dzieli się dość wyraźnie na cztery części: gospodarczą, mieszczącą m. in. kuchnię, refektarz, bibliotekę nowicjacką, następnie część nowicjacką z pokojami nowicjuszy, dwupoziomową kaplicą domową, czytelnią, pokojem muzycznym, salą TV, oraz część domu rekolekcyjnego z odrębną kaplicą i częścią parafialną. Kaplica domowa ma powierzchnię 150 m², a drugim jej poziomem jest balkon. Pierwszą Mszę św. odprawił w niej i jednocześnie poświęcił kolegium O. Generał w dniu 18 maja 1987 roku. Z kilku niezwykle ważnych dla codziennego życia nowicjuszy „instytucji”, nie objętych podanym wyżej metrażem należałoby wymienić w pierwszym rzędzie: taras obejmujący większą część dachu oraz zajmującą znaczny fragment piwnic pralnię. W kolegium mieści się także infir-

meria, w której poza pokojami dla chorych znajdują się także gabinet lekarski i dentystryczny.

Niestety, nie o wszystkich tych pomieszczeniach można mówić w czasie teraźniejszym, szczególnie o tych, które znajdują się w części rekolekcyjnej. Gdy w czerwcu 1987 roku nowicjat przeprowadził się z Kalisza do Gdyni, młodzież zakonną straszły jeszcze betonowe podłogi i nagie tynki ścian. Od tamtego czasu wapno pokryło ściany, a lastrykowe posadzki - podłogi, prawie zakończono prace wykończeniowe, jednak wiele jeszcze pozostało do zrobienia tak wewnątrz domu, jak i w jego najbliższym otoczeniu. Najprawdopodobniej jeszcze w tym roku przydomek „Malbork” będący aluzją do ceglanych murów kolegium stanie się nieaktualny z powodu otynkowania elewacji na śnieżno - biały kolor. Kto wie, może niektórzy złośliwcy nazwą dom nowicjatu dla kontrastu „łodówką”?

Osobny rozdział stanowi budowa kościoła. Zaprojektowany przez tegoż samego architekta odznaczać się będzie widoczną z daleka 50 - cio metrową wieżą. Sześciokątna budowla przypominająca nieco sylwetkę okrętu pomieścić będzie mogła 1500 wiernych w głównej nawie o powierzchni 400 m², a w 100 m² liczącym prezbiterium znajdzie się wiele tak upragnionego miejsca dla licznej koncelebry. Do wypełnienia pozostało jeszcze 1500 m² powierzchni użytkowej - będą ją stanowić położone na drugiej kondygnacji kościoła salki katechetyczne, biblioteka parafialna, pomieszczenia dla ministrantów i duszpasterstwa rodzinnego.

Przez nowy nowicjat przewinęło się już ponad 100 nowicjuszy, 26 września 1987 roku w starym kościele pierwszych dziesięciu „Gdynian” złożyło swoje pierwsze śluby zakonne. Daleko jeszcze do liczby uformowanych w Kaliszu, brak wieloletnich tradycji domu - symbolu. Ale właśnie Gdynia jest teraz miejscem, gdzie zaczyna się rodzić historia Towarzystwa Jezusowego w Polsce. Mamy nadzieję, że zapiszemy w niej karty co najmniej pozytywne.

Tomasz Grodecki SJ



Zamieszczamy wywiad z ojcem Josefem Koláčkiem SJ opublikowany na łamach «Przeglądu Katolickiego» (40/ 89), który, jak mamy nadzieję, przybliży naszym Czytelnikom trudną sytuację Kościoła w Czechosłowacji.

KOŚCIÓŁ PRZED ŚWITEM

Josef Koláček (ur. 1929) - poeta, prozaik, tłumacz, publicysta. Po maturze w 1948 roku wstąpił do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego. Po likwidacji zakonu - internowany. Od 1954 pracował fizycznie, jednocześnie prywatnie studiując teologię. W 1968 roku otrzymał święcenia kapłańskie. W tym samym roku wyjechał do Austrii, aby kontynuować studia. Od 1970 roku jest redaktorem, a od 1973 kierownikiem czeskiej sekcji Radia Watykańskiego. Próbował drukować teksty literackie już w kraju, lecz były one konfiskowane. Debiutował w 1975 roku na emigracji. Poza twórczością oryginalną zajmuje się przekładami, m.in. W. Hünnera, A. E. Wildera Smitha i Teresy z Avili. Mieszka w Rzymie.

Zdecydował się Ojciec na wybór swej drogi życiowej w dość niesprzyjającym czasie. Jakimi motywami się Ojciec kierował?

Pragnienie, aby zostać księdzem, pojawiło się w latach mojej ministrantury i choć wtedy miałem jeszcze kilka innych „pomysłów na życie”, to ten stopniowo wysuwał się na

pierwszy plan. Fala brutalnych represji po zamachu na Heydricha, przerażające wiadomości o obozach koncentracyjnych i przejście frontu przez naszą wioskę - wszystko to konfrontowało mnie w okresie dojrzewania z problemem cierpienia, rozpaczy i siły wiary.

W czasie pierwszych powojennych rekolekcji dla młodzieży gimnazjalnej w Velehradzie w kaplicy Stojanowa Ojciec Zgarbik SJ (zamordowany w 1964 roku w więzieniu) powiedział: *Chrystus Pan w każdych czasach powołuje wielkodusznych. Dziś także, gdy zbliża się czas otwartego prześladowania Kościoła, odnajdzie tych, którzy mężnie dawać będą świadectwo chwały Bożej i dla Chrystusa odważą się na każde szaleństwo.* „Ja stanę się tym szaleńcem” postanowiłem w duchu i od tej chwili nie miałem wątpliwości. Teraz już tylko z niecierpliwością odliczałem dwa lata pozostałe mi do matury, żeby... No, ale nadszedł luty 1948 i tylko o włos uniknąłem wyrzucenia ze szkoły. W sierpniu 1948 wstąpiłem jednak do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego, gdzie dane mi było spędzić półtora roku w prawie normalnych warunkach.

Z pewnością niechętnie wspomina Ojciec likwidację zakonów w Czechosłowacji. Czy mógłbym jednak spytać, jak potoczyły się wtedy losy Ojca?

Byłem wtedy *manductorem* (jakimś starostą czy grupowym 33 nowicjuszy) w drugim roku nowicjatu. W nocy z 13 na 14 kwietnia 1950 roku aresztowano nas. O wpół do dwunastej wdarli się do klasztoru uzbrojeni milicjanci z wymierzonymi karabinami i jeszcze tej samej nocy przewieziono nas wszystkich do Bohosudova, gdzie był tak zwany zbiorczy klasztor, czyli właściwie obóz przymusowej pracy. Wszystkich członków czeskiej prowincji Towarzystwa Jezusowego poddano tam „reedukacji” za pomocą łopaty, kilofa i agitek politycznych. 15 sierpnia złożyłem tajnie pierwsze śluby zakonne. Wkrótce potem zostaliśmy przeniesieni do Oseku koło Duchcova do takiego samego przybytku. W połowie września

wszystkich młodych powołano do wojska, do specjalnych karnych oddziałów (tzw. PTP, czyli Pomocniczych Batalionów Technicznych), popularnie nazwanych „oddziałami odrzutowych łopat i szybkostrzelnych kilofów”. Tam trzymali mnie przez 3 lata, 3 miesiące i 3 tygodnie.

Wciąż jeszcze trwały tzw. „lata pięćdziesiąte”...

Po powrocie „do cywila” wiedłem żywot człowieka o „podejrzanym profilu ideowym”, z którym niebezpiecznie było się kontaktować osobiście czy listownie, a nawet przyznawać się do znajomości z nim. Także w rodzinnej wiosce towarzyszyły mi uniki, odwracanie głowy, zmieszanie, gdy kogoś pozdrawiałem czy chciałem o coś zapytać. Śledzono mnie zarówno w fabryce, jak w kościele św. Tomasza, gdzie śpiewałem w chórze oraz w rodzinnej Bystrici. Pod byle pretekstem urządzano mi też przesłuchania, a pękate teczki z aktami coraz wyżej piętrzyły się na biurku „referenta śledczego”. Po powrocie z wojska (styczeń 1954 roku) tylko choroba uratowała mnie od pracy w kopalni. Zostałem wobec tego robotnikiem w fabryce liczników gazowych, a po jej zlikwidowaniu zatrudniono mnie w brnieńskiej Zbrojowce - oczywiście nie przy produkcji broni, lecz w tłoczni produkującej części maszyn do pisania i maszyn liczących.

Likwidacja zakonów w Czechosłowacji i nieludzkie warunki życia lat 50 - tych stanowiły zapewne niezwykle trudną próbę dla członków i członkiń czechosłowackich zakonów i kongregacji.

Żaden z księży czy braci laików czeskiej prowincji Towarzystwa Jezusowego nie dał się namówić na współpracę, choć mógłby z tego powodu odnieść spore korzyści (skrócenie czasu internowania, skrócenie kary więzienia, możliwość natychmiastowego objęcia parafii zamiast ciężkiej pracy fizycznej itp.). Tylko jeden scholastyk za te obietnice zaprzedał się policji i sprawił wiele kłopotów sądzonym czy uwięzionym ojcom.

W 1968 roku, już po wyjeździe za granicę, spotkałem pewnego hiszpańskiego współbrata i pochwaliłem mu się, że w 1950 roku w czasie aresztowania było nas 33 nowicjuszy, a po dwudziestu latach prześladowań - 12, czyli ponad jedna trzecia dochowała wierności ślubom. On na to jedynie westchnął: *nas w nowicjacie też było tylu, a po dwudziestu latach zostaliśmy w Towarzystwie tylko we dwóch.*

W czasie studiów na Wydziale Teologicznym w Innsbrucku nie mogliśmy się nadziwić, ile spraw z dziedziny wiary dla naszych scholastyków z wolnych zachodnich krajów było rzeczą problematyczną. My traktowaliśmy je jako coś oczywistego. Po prostu - jak świetnie ujął to nasz prowincjał, Ojciec Silhan - odbyliśmy studia na uniwersytecie krzyża w okresie prześladowań.

Co w życiu Ojca zmieniła Praska Wiosna i okres poprzedzającej ją odwilży?

Przez wszystkie te lata w karkołomnych okolicznościach wciąż studiowałem filozofię i teologię w nadziei, że nadarzy się okazja do złożenia egzaminu, i że potem znajdę jakiegoś tajnego biskupa, który udzieli mi święceń kapłańskich. Udało mi się to w 1967 roku, a w styczniu 1968 roku przyjąłem święcenia. Na zewnątrz byłem nadal robotnikiem, ale jako ksiądz miałem więcej możliwości pracy duchowej - zwłaszcza z młodzieżą: koła biblijne, wspólne medytacje, rekolekcje, odnowa duchowa, opieka nad poszczególnymi jednostkami i nad całymi grupami.

"Kościół podziemny" to w Polsce zupełnie nieznanе zjawisko. Czy mogę wobec tego spytać, na jakich zasadach organizacyjnych działa ów Kościół? Czy ma swoją hierarchię? Jaki jest stosunek Kościoła „oficjalnego” do „podziemnego”?

Zawsze broniliśmy się przed sformułowaniem „kościół podziemny”, jest to bowiem efektowna, dziennikarska nazwa,

która ma ułatwić rozumienie problemu ludziom Zachodu. My po prostu robiliśmy to, czego zabraniano robić ludziom wierzącym. Zamknięto seminaria diecezjalne, zlikwidowano zakony i prasę katolicką, ograniczono do minimum wydawanie literatury religijnej, uniemożliwiono katechizację i kształcenie dorosłych w znajomości Biblii, organizowanie rekolekcji. Cel był jasny: doprowadzenie do stopniowego wymarcia księży i śmierci Kościoła. Dlatego poszukiwano i w końcu znaleziono drogi wyjścia z tej sytuacji. Oczywiście nie zwracano się do władz o pozwolenie na taką działalność, bo aparat represji był bezwzględny. Stąd właśnie potrzeba ostrożności (*jak węże...* - tutaj pewnie tkwią korzenie określenia „podziemny kościół”), ale też prostolinijności (*jak gołębie...* - w czasie przesłuchań staraliśmy się odpowiadać zgodnie z prawdą, ze świadomością, że postępowaliśmy w zgodzie z podstawowymi prawami człowieka, ale bez naiwnej głupoty, aby nie zaszkodzić innym).

Życie religijne nie zamierało, lecz kwitło w niezwyklej formie i pojawiało się tam, gdzie nikt by tego nie oczekiwał. Ale zaczęły się prześladowania, procesy, przesłuchania, rewizje, dyskryminacja w szkołach i zakładach pracy: Co dwa lata prowokowano jakiś proces przeciw zakonnikom; stopniowo przyszła kolej na każdy zakon: jezuiti (2 razy), premonstratenski, salezjanie, franciszkanie, dominikanie, redemptoryści — oskarżeni przeważnie o prowadzenie tajnych studiów (w czasie przesłuchań domagaliśmy się umieszczenia w protokołach terminu *prywatne studia*), o tworzenie tajnych wspólnot i prowadzenie działalności podziemnej (wszystko to sformułowania tajnej policji).

Nie można mówić tu o jakiejś z góry ustalonej strukturze, bo coś takiego stawało się łatwym łupem tajnej policji, która interesowała się przede wszystkim, kto tym kieruje, kto wydaje polecenia, jakie ma kontakty z zagranicą, skąd bierze środki itp.

Poszczególne zakony na własną rękę opiekowały się swymi kandydatami, pomagały im dotrzymać reguł życia zakonnego i przetrwać czas *in dispersione*, do czego bezprawnie ich zmuszano. Jedynie ojcowie przebywający w więzieniach czy obozach internowania łączyli swe siły, wspólnie obmyślali plany na przyszłość. Zwykle wokół każdego tajnego biskupa tworzył się krąg tajnie wyświęconych księży. W niedawnym wewnątrzpartyjnym dokumencie na temat *niebezpieczeństwa grożącego ze strony Kościoła katolickiego* znalazłem dane zapewne z policyjnego archiwum, że „do dnia dzisiejszego wyświęcono tajnie 25 biskupów i 130 księży, którzy wykonują cywilne zawody”. Według mojej oceny pierwsza liczba jest zawyżona, a druga znacznie zanizona, ale naturalnie nie mam danych statystycznych, bo takie po prostu nie istnieją. Zresztą główna zasada prześladowanych chrześcijan brzmi: nie zadawać niepotrzebnych pytań. Istniały bowiem smutne doświadczenia, że potem w trakcie przesłuchań wychodziły na jaw sprawy, o których przesłuchiwni nie musieliby nic wiedzieć, gdyby nie byli tacy ciekawi. Tajnie wyświęceni księża po godzinach swej normalnej pracy zajmowali się tym, czego nie byli w stanie robić księża posiadający państwową licencję — kontrolowani przez „sekretarzy ds. Kościoła” i całą sieć donosicieli ze swych parafii. Gdziekolwiek miały miejsce odruchy protestu czy niechęci ze strony „oficjalnych” księży, ale przeważnie powodem były obawy przed konsekwencjami (*nie chcą, żeby mnie przez was zamknęli*).

Więzienie co prawda im raczej nie groziło, lecz ci, którzy tolerowali tego typu działalność musieli się liczyć przynajmniej z przeniesieniem na tereny przygraniczne (zwłaszcza niemal wymarłych parafii na terenach, z których wysiedlono Niemców) albo z cofnięciem państwowej licencji. W efekcie tego taki ksiądz musiałby iść do fabryki lub pracować łopatą czy kilofem, co zwłaszcza dla starszych księży było poważnym straszakiem. Nie można jednak mówić o dwutorowości życia Kościoła albo o konfliktach czy sprzecznościach między Kościołem „oficjalnym” a „podziemnym”.

A czy istnienie „Kościoła podziemnego” nie zagraża jedności Kościoła?

W takim samym stopniu, jak intensywniej przeżywane chrześcijaństwo różnych ruchów, bractw, trzecich zakonów czy towarzystw w wolnych krajach zagraża jedności Kościoła lokalnego, opartego na strukturze parafii. Większym zagrożeniem jest według mojej opinii pozbawienie diecezji ich pasterzy czy gwałcenie innych podstawowych swobód religijnych. Długotrwały „stan wyjątkowy” prowadzi do sytuacji, że trzeba robić co się da, często nie zwracając uwagi na prawo kościelne, dyscyplinę, posłuszeństwo i obyczaje, wszystko można bowiem usprawiedliwić właśnie ową wyjątkową sytuacją bycia przesładowanym. Wyrządza to spore straty moralne. Długoletnie prowizorium wikariuszy kapitulnych to jeden z wymownych przykładów na to, że cały czas dążono do osłabienia życia Kościoła.

Co skłoniło Ojca do opuszczenia kraju?

O wszystkim zadecydowała sierpniowa okupacja Czechosłowacji. Dla nas - tajnie wyświęconych jezuitów - nasz prowincjał, długoletni więzień Leopolda, Ojciec Silhan, planował teologiczne studia uzupełniające (nazywał to „dopiłowaniem”), przed skierowaniem do pracy duszpasterskiej. Po agresji wojskowej stwierdził jednak, że w kraju nie ma teraz szans na stworzenie takiego studium, więc jeśli ktoś z nas ma dość odwagi i wiary we własne siły, niech jedzie na studia za granicę. Dlatego postanowiłem wyjechać na studia teologiczne do Innsbrucka. Tam w drugim roku studiów przeznaczono mnie do pracy w Radio Watykańskim. Tym samym podjąłem decyzję pozostania za granicą, ponieważ pod koniec 1969 roku w Pradze postawiono ultimatum, że kto nie wróci do kraju zostanie uznany za uciekiniera i będzie podlegać odpowiedzialności karnej. Chociaż więc korzystałem z podstawowego prawa człowieka - prawa do opuszczenia swego kraju z moż-

Ojciec Józef
Koláček SJ
w trakcie przygo-
towywania audycji



liwością powrotu w dowolnym czasie, w moim przypadku po ukończeniu studiów - otrzymałem wyrok, tym razem zaocznie. To oczywiście, że po wcześniejszych doświadczeniach nie miałem ochoty na spędzenie w celi więziennej następnego roku.

*Czy żyjąc w Rzymie czuje się Ojciec emigrantem?
Jeśli tak, to jakie piętno wywarła na Ojcu emigracja?*

Wyjeżdżałem z kraju ze świadomością, że nie wrócę tak jak dawniej nasi misjonarze, którzy opuszczali kraj i umierali na obczyźnie. Myślę, mówię i piszę po czesku, jestem dumny ze swego morawskiego pochodzenia i nigdy go nie ukrywam, a raczej przeciwnie. Pracuję dla naszych ludzi w kraju. Codziennie przygotowuję programy radiowe i odpowiadam

Msze w radiowej kaplicy, które to Msze transmitowane są do kraju, piszę artykuły i felietony, teksty krytyczne, studia i recenzje książek do czeskiej prasy emigracyjnej, więc cały wolny czas poświęcam twórczości literackiej.

Kiedy jednak czytam artykuły bądź dyskusje o problemach czy zgubnych skutkach życia na emigracji, muszę się bardzo namęczyć i wczuwać w sytuację autora, aby zrozumieć, na co on właściwie cierpi. Ja z powodu emigracji nigdy nie cierpiałem. Nie prześladuje mnie żaden „Heimweh”. Do mnie odnosi się chrześcijańska zasada: *Wszędzie jest ziemia Pana*, ponieważ traktuję swe życie jako pielgrzymkę do Ojczyzny Niebieskiej, do domu, do Ojca.

Od początku lat 70-tych pracuje Ojciec w czeskiej sekcji Radia Watykańskiego. Jakie zadanie stawia sobie ta czeska rozgłośnia?

Chcę być głosem Ojca Świętego skierowanym do Kościoła w kraju i informować wiernych o życiu Kościoła na całym świecie. A ponadto, ponieważ Kościół w Czechosłowacji zmuszony jest do istnienia w warunkach znacznego ograniczenia swobód religijnych, więc staramy się, na tyle na ile to tylko możliwe w 15-minutowym programie, podawać te informacje religijne i kulturalne, które są zatajane.

Co Ojca przywiodło do literatury? Czy pisał Ojciec już w Czechosłowacji?

Nigdy na serio nie myślałem o jakimś „przejściu do literatury”. Już od czasów szkolnych pisywałem wiersze i rozdawałem je, jeśli się komuś podobały, więc zupełnie nie potrafię powiedzieć, ile ich napisałem. Kilka z nich powróciło do mnie po wielu latach w formie anonimowych pieśni. W czasie studiów w Innsbrucku ukazał się mój tomik poetycki *Weronika*, z podtytułem *Droga krzyżowa kobiety*. Spodobał się kolegom i przetłumaczono go na niemiecki, francuski i holen-

derski. Podobnie było z prozą. Pisywałem opowiadania i felietony, które nie miały najmniejszych szans na opublikowanie.

Potem pierwsze lata pracy w radio w całości pochłonęły moje siły twórcze i nie miałem ani czasu, ani ochoty na własne pisanie.

Długoletnie dążenie do wymazania ze świadomości młodzieży pamięci o chrześcijańskim charakterze naszej historii i kultury stawiało przede mną poważne zadania. Początkowo poruszałem się po omacku, w końcu jednak skryształizowały mi się forma i temat: powieściowe przedstawienie postaci wielkich świętych z minionych czasów, pokazanie ogromnego bogactwa tych niezwykłych osobowości oraz ich czasów i przeprowadzenie czegoś w rodzaju duchowej analizy. Krótko mówiąc - także w literaturze pragnę poważnie traktować świętych obcowanie.

Do jakiej tradycji literackiej przyznaje się Ojciec w swoim pisaniu?

W swoim pisaniu czuję się jak pielgrzym w dalekich, nieznanych krajach. Dzieła autorów, którzy mnie wzbogacili czy dodali otuchy, otworzyli nowe horyzonty czy sformułowali to, co w niejasny sposób przeczuwałem, są dla mnie punktami orientacyjnymi albo drogowskazami. Mam świadomość, że droga prowadzi dalej, a ten ciągły brak satysfakcji z tego, co zostało napisane i nosi moje nazwisko, lecz nie przypadło mi do serca, spina mnie naprzód jak ostroga. Jeśli jednak chce Pan nazwisk, oto one: Bernanos, Bloy, Claudel, Calderon, Teresa z Awili, Jan od Krzyża, Chesterton, Sienkiewicz, Norwid, ale przede wszystkim szczytowe osiągnięcia literatury czeskiej: Bridel, Durych, Zahradniček, Lazecký.

W ostatnich latach w Czechosłowacji niezwykle wzrosło zainteresowanie sprawami religii i wzrosła też aktywność wiernych. Jak ocenia Ojciec obecną sytuację Kościoła katolickiego w Czechosłowacji i jakie widzi Ojciec perspektywy?

W latach pięćdziesiątych wbrew tragicznej sytuacji wierzyliśmy, że te cierpienia, które Kościół w Czechosłowacji znosi dla Chrystusa i dla wierności Ewangelii, muszą przynieść owoce Boskiego odrodzenia. W okresie *Praskiej Wiosny* delegacja złożona z przełożonych zakonów prowadziła rozmowy z rządem w sprawie reaktywowania wspólnot zakonnych i możliwości prowadzenia normalnej działalności. Przy tej okazji policzono, ile lat spędzili w więzieniach żyjący wtedy członkowie i członkinie zakonów i kongregacji. Wyszła z tego astronomiczna liczba 42 763 lata. Ja sam do 1968 roku widziałem na własne oczy początek przemian, jakieś uduchowienie całej atmosfery życia w wierze i to zarówno wśród zakonników, jak i wśród ogółu wierzących. Dlatego traktuję obecną sytuację - gdy katolicy walczą o swoje prawo posługując się bronią jawnych i skrytych ofiar, modlitwą i postem, a zwłaszcza miłością także dla prześladowców - jako stałą, choć powolną przemianę likwidującą ów Pawłowy paradoks, druga część sławnego „*sperare contra spem*”. Pozostaje wciąż jakaś jutrzeńska nadziei. Patrząc na to, co dzieje się w kraju, czuję się jak podczas porannej zorzy... Tak, świta...

Co chciałby powiedzieć Ojciec na zakończenie polskim czytelnikom?

Żeby traktowali dosłownie prawdę wiary o obcowaniu świętych. Mroczne horyzonty ich codziennego życia nabrać mogą dzięki temu jasnych, niebieskich perspektyw i w żadnym cierpieniu, w żadnej próbie nie będą sami.

Dziękuję Ojcu za rozmowę.

rozmawiał Andrzej Jagodziński

Warszawa - Rzym, maj - listopad 1988 r.



TOWARZYSTWO JEZUSOWE I UCHODZCY (II)

Południowa Azja

Rejonem tym opiekuje się O. Robert Cutinha SJ. Jest odpowiedzialny za trzy kraje. Nieporozumienia pomiędzy rządami Indii i Sri Lanki w 1987 roku, spowodowały, że setki tysięcy tamilskich robotników z plantacji herbaty zostało wysłanych przez Sri Lankę z powrotem do Indii. Jezuita pracują tutaj razem z innymi chrześcijańskimi instytucjami opiekując się tymi „repatriantami”.

W 1988 roku jezuita na Sri Lankę rozpoczęli dzieło pomocy w doraźnych programach rozwoju, szczególnie zaś dotyczących młodzieży, popierając w ten sposób zaangażowanie Kościoła na rzecz pokojowych rozwiązań.

Natomiast w Pakistanie 3 mln afgańskich uchodźców oczekiwało na powrót do swojej ojczyzny przed końcem 1988 r.

USA

W 1983 roku dziesięć prowincji amerykańskich utworzyło JRS (Jezuicką Służbę Pomocy Uchodźcom) w Waszyngtonie, powołując na koordynatora O. Franka Moana SJ. W 1987 r. O. Moan założył międzywyznaniową organizację *Głosy Ucho-*

dźców, po czym przekazał zarząd JRS w USA O. Simonowi Smithowi SJ, wcześniejszemu koordynatorowi JRS w Afryce (w latach 1984 - 1986). W każdej z tych dziesięciu prowincji została mianowana osoba odpowiedzialna za kontakt z koordynatorem. Od 1984 r. amerykańscy jezuici są bardzo zaangażowani w pomoc uchodźcom przybywającym z Ameryki Środkowej, udzielaną we współpracy z innymi katolickimi i rządowymi organizacjami.

Na szczególną uwagę zasługuje praca jaką wykonuje wraz ze swoim zespołem O. Julian Elizalde SJ. Pracują oni z wietnamską wspólnotą katolicką w USA, dając ćwiczenia duchowne i rekolekcje, a następnie usiłując tworzyć żywe wspólnoty chrześcijańskie.

Ameryka Środkowa i Meksyk

W styczniu 1986 roku dziewiętnastu jezuitów spotkało się w jednej z ubogich dzielnic parafii w El Desperat, w San Salvador. Spotkanie to zaowocowało w postaci programu pomocy dla tego regionu. Jego pierwszym koordynatorem został O. Michael Campbell - Johnston SJ. W tym rejonie mówi się o 1 mln uchodźców z Gwatemali, 250 tys. z Salwadoru (20 - 25 całej populacji tego kraju ulega wewnętrznym przesiedleniom z powodu wojny) oraz 150 tys. z Nikaragui. Działalność Towarzystwa charakteryzuje tutaj „bycie z uchodźcami”, tzn. dzielenie ich doświadczenia życia po to, by zrozumieć ich trudności i przynieść lepsze rozwiązania.

Po nominacji na prowincjała Prowincji Brytyjskiej O. Michael Campbell - Johnston został zastąpiony w 1987 r. przez młodego kalifornijskiego jezuity O. Richarda Howarda. Wcześniej O. Howard pracował z uchodźcami z Ameryki Środkowej na terenie Los Angeles, spędzając corocznie kilka miesięcy w El Salvador. W marcu 1988 r. obronił on doktorat na temat: *Aspekty pracy duszpasterskiej wśród ludności hiszpańskiej w USA.*



Kanada

Założone na początku 1985 roku, przez kanadyjskich jezuitów, dzieło pomocy uchodźcom ma cztery zasadnicze cele:

- indywidualna pomoc niektórym uchodźcom w Kanadzie;
- przystudiowanie istniejących systemów ofiarowania pomocy uchodźcom;
- przystudiowanie federalnego ubezpieczenia, szczególnie dotyczącego uchodźców;
- poza uchodźcami w Kanadzie, objęcie opieką milionów osób emigrujących do innych krajów, troszcząc się o uznawanie

ich praw na forum międzynarodowym, zwiększając pomoc ekonomiczną dla nich oraz przyczyniając się do lepszego informowania społeczeństwa o uchodźcach.

Włochy i Rzym

Aż do 1985 r. Centralne Biuro JRS przy Kurii Generalnej Jezuitów było zaangażowane w pomoc uchodźcom w Rzymie. Zdecydowano wówczas, aby energię tego biura skoncentrować na koordynacji pracy o wymiarze międzynarodowym, powierzając pomoc o charakterze lokalnym innemu ośrodkowi. O. Groum Tesfaye, młody etiopski jezuita, pokierował tym ośrodkiem na Via degli Astalli, który zajmuje się zasadniczo etiopskimi i erytrejskimi uchodźcami. O. Groum składał okresowe wizyty tym ludziom (więcej niż 700 z nich żyje w różnych instytutach zakonnych w Rzymie), obchodząc z nimi religijne i świeckie święta, oraz opiekując się ich chorymi. Ośrodek Astalli dziennie wydaje ok. 140 gorących posiłków. Prowincja Włoch w 1987 r. podjęła się całkowitej odpowiedzialności za to dzieło. O. Carlo Sorbi SJ, od 15 lat ksiądz-robotnik, został mianowany dyrektorem Ośrodka Astalli. W 1987 r. O. Sorbi był w stanie otworzyć drugi ośrodek dla etiopskich uchodźców w parafii św. Saby. Zapewnia on nocleg dla więcej niż 90 uchodźców, wcześniej skazanych na spędzanie nocy na Placu Weneckim lub w parkach publicznych Rzymu.

Międzynarodowym dyrektorem JRS w Kurii Jezuickiej jest O. Dieter Scholz.

O. Kolvenbach wiele razy podkreślał wagę pracy Towarzystwa pośród uchodźców. Jest to szczególnie sposób bycia blisko z ubogimi w pracy na rzecz sprawiedliwości.

*ks. Dieter Scholz SJ
(tłum. Tomasz Kot SJ)*

*Never rest,
till good be better
and better - the best.*



WAKACYJNY KURS JĘZYKA ANGIELSKIEGO,

W tym roku po raz pierwszy został zorganizowany kurs języka angielskiego dla scholastyków polskich prowincji z udziałem młodych jezuitów z krajów anglo-języcznych. Na początku warto powiedzieć parę słów na temat genezy tego rodzaju kursu. Na całym świecie, szczególnie w miastach uniwersyteckich organizowane są różne wakacyjne kursy specjalistyczne. Od kilku lat studenci jezuitcy z prowincji brytyjskiej organizują dla jezuitów z całego świata kurs języka angielskiego w Oxfordzie pod Londynem. Tego rodzaju „jezuitkie” kursy językowe odbywają się w Salamance, Paryżu, Monachium i w innych miastach. Szczególnego jednak znaczenia nabierają kursy języka angielskiego, gdyż ten język został wybrany jako oficjalny język komunikacji w Towarzystwie Jezusowym. Idea zorganizowania takiego kursu w Polsce zrodziła się na europejskim zjeździe scholastyków, który miał miejsce w zeszłym roku w Austrii. Z Polski brali w nim udział Artur Kołodziejczyk i Jacek Siepsiak. Sam pomysł został przychylnie przyjęty przez przełożonych przede wszystkim z tej racji, że obie prowincje mają tylko kilka miejsc na kursie oxfordzkim.

Kurs krakowski trwał trzy tygodnie. Prowadziło go pięciu jezuitów: Ted Raykoske - student teologii w Londynie, który był głównym organizatorem kursu, James Campbell - Szkot, student filozofii w Oxfordzie - obaj z prowincji brytyjskiej; Brian McCuarta - student teologii we Frankfurcie, John McCafforty - student historii w Dublinie - obaj z prowincji irlandzkiej i ojciec Konrad Greck, Maltańczyk, studiujący teologię w Rzymie. W kursie wzięło udział około 25 kleryków, w tym jeden z prowincji portugalskiej - Isaias Hipolito i z prowincji słoweńskiej - Andrej Benda. Program kursu był wzorowany na kursie oxfordzkim. Pierwszego dnia przeprowadzono test kwalifikujący do poszczególnych grup. Następne dni wypełnione były wieloma zajęciami. Do południa odbywały się spotkania w grupach, po obiedzie był czas na odpoczynek, przygotowanie się do następnych zajęć i indywidualne rozmowy z nauczycielami. W porze przed kolacją przeżywaliśmy wspólnie Eucharystię, która sprawowana była oczywiście w języku angielskim. Natomiast wieczorem było ogólne spotkanie o charakterze raczej rekreacyjnym: filmy w wersji angielskiej, przeżrocza, wspólne śpiewanie piosenek, prezentacja poszczególnych prowincji itp. Odmienny charakter miały *weekendy*. W soboty wspólnie zwiedzaliśmy Kraków, zorganizowaliśmy wyjazdy do Częstochowy, Oświęcimia, Zakopanego. Były to okazje do praktycznego wykorzystania zdobytych już umiejętności. Niedziela natomiast była dniem wolnym od nauki i od mówienia po angielsku, a nasi goście sami sobie organizowali wolny czas.

Kurs ten przyczynił się w dużym stopniu do pokonania bariery w mówieniu obcym językiem. Od rana do wieczora musieliśmy mówić po angielsku: na korytarzach, przy stole podczas posiłków, w czasie rekreacji. Mimo, iż na początku bolały ręce, trudności z porozumieniem się z biegiem dni szybko ustępowały. Kurs ten był też swoistym jezuickim spotkaniem,

które dało okazję do dzielenia się naszymi doświadczeniami, do dyskusowania o kształcie Towarzystwa. Nasi goście bardzo interesowali się sytuacją społeczno - polityczną kraju. Bardzo ciekawe było też spotkanie z Ojcem Prowincjałem Bogusławem Steczkiem, który jako najbardziej kompetentna osoba opowiadał o pracy polskich jezuitów, a nasi goście zostali następnie zaproszeni na *provincjański obiad* do Kurii.

Atmosferę kursu najbardziej wyraziście odzwierciedlała wspólna Eucharystia - pełni braterskiej miłości i życzliwości stanowiliśmy wobec Chrystusa Eucharystycznego wspólnotę *przyjaciół w Panu*.

Ostatni dzień spędziliśmy na Przegorzałach - jednej z krakowskich rezydencji. Tam Rektor Kolegium, O. Mieczysław Kozuch, wraz z O. Konradem Greckiem celebrowali Mszę św. Następnie przy ognisku Ojciec Rektor jeszcze raz podziękował naszym lektorom za przyjazd do Polski, za trud i pracę, a przede wszystkim za tę wspaniałą atmosferę przyjaźni, jaką wspólnie tworzyliśmy.

Po zakończeniu kursu goście jeszcze przez kilka dni zwiedzali Polskę. Mamy nadzieję, że i w następnych latach będziemy mogli w podobnych kursach uczestniczyć.

Andrzej Batorski SJ



TRZEJ...

Pewnego dnia statek biskupa zatrzymał się na jeden dzień na odległej wyspie. Patriarcha postanowił spędzić dzień jak najpożyteczniej.

Kiedy chodził po plaży spotkał się z trzema rybakami naprawiającymi swe sieci. Ci łamaną angielszczyzną wyjaśnili mu, jak zostali nawróceni przed wiekami przez misjonarzy.

- My być chrześcijanie - powiedzieli mu pokazując na siebie z dumą.

Biskup był poruszony. Gdy zapytał czy umieją *Modlitwę Pańską*, odpowiedzieli, że nigdy jej nie słyszeli. Biskup poczuł autentyczne wzruszenie. Jak mogli nazywać się chrześcijanami, jeśli nie umieli czegoś tak podstawowego jak *Ojcze nasz*?

- W takim razie, co mówicie, gdy się modlicie?

- My podnieść oczy do nieba. My mówić: My jesteśmy trzej, Ty jesteś Trzej, zmiłuj się nad nami.

Biskup aż się przeląkł prymitywnego, a nawet wręcz heretyckiego charakteru ich modlitwy. Tak więc całą resztę dnia poświęcił, by nauczyć ich *Ojcze nasz*.

Rybakom trudno się było nauczyć, ale dołożyli wszelkich sił i następnego dnia przed odjazdem, biskup miał satysfakcję usłyszeć z ich ust całą modlitwę bez jednego błędu.

Kiedy w czasie długiego rejsu myślał o tym, nagle podniósł oczy i zauważył jakiś świetlisty punkt na wschodzie. Światło zbliżało się do statku i ku jego zdumieniu zobaczył trzy sylwetki idące ku niemu po wodzie. Kapitan zatrzymał statek i wszyscy marynarze zbrali się przy burcie, by patrzeć na to zdumiewające zjawisko.

Gdy już znajdowali się w odległości w jakiej można było mówić, biskup rozpoznał swoich trzech przyjaciół rybaków.

- Biskupie! - zawołali - my cieszyć się, że cię widzieć. My widzieć twój statek przejść obok wyspa i iść szybko, szybko cię zobaczyć.

- Czego chcieliście? - zapytał ich biskup ze strachem.

- Biskupie - powiedzieli - my smutni. My zapomnieć piękna modlitwa. My mówić: *Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...* Potem zapomnieć. Proszę powiedzieć jeszcze raz cała modlitwa.

Biskup poczuł się zawstydzony.

- Wróćcie do waszych domów, moi dobrzy ludzie - powiedział im - i kiedy się modlicie, mówcie: *My jesteśmy trzej, Ty jesteś Trzej, zmiłuj się nad nami.*

Po wielu miesiącach statek biskupa znalazł się znowu przy tamtych wyspach i kiedy biskup chodził po pokładzie odmawiając swoje wieczorne modlitwy, przypomniał sobie z zadowoleniem, że na jednej z tych dalekich wysp jest trzech ludzi, którzy dzięki jego cierpliwym wysiłkom mogli teraz modlić się jak należy.

Często widziałem staruszki odmawiające niekończące się różańce w kościele. Jak może uczcić Boga ta nieskładna gadanina? Ale zawsze gdy popatrzyłem w ich oczy i w ich oblicza zwrócone ku niebu, widziałem w głębi duszy, że są one bliżej Boga niż wielu uczonych mężów.

tłum. ks. Henryk Pietras SJ



W 1988 roku dwaj nasi scholastycy Wiesław Gontarz i Ryszard Wtorek rozpoczęli staż duszpasterski w Egipcie. Praca w egzotycznym kraju - a dla nich jest nią na początku nauka języka arabskiego - to jednocześnie sposób poznawania ludzi, ich kultury i problemów codziennego życia. W tym artykule Rysiek dzieli się z nami swoim egipskim doświadczeniem.

KAIRSKIE NOTATKI

Egipt - ziemia bogów i faraonów, kolebka cywilizacji, dumma islamu.

Egipt - wspaniałe muzeum na wolnym powietrzu.

Egipt - tygiel świata, w którym zmieszały się kultury i rasy.

Przedziwne miejsce na Ziemi, którego oblicze zostało ukształtowane rękoma ludzi mieszkających nad Nilem. Nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że Nil to serce Egiptu. Egipcjanie od zamierzchłych czasów byli świadomi tego, jak bardzo zależy ich życie od wód, które toczą się jego korytem. Nie dziwi więc nikogo niezwykle bogaty w różne obrzędy kult, jakim starożytni otaczali matkę - Nil. Można go jedynie porównać z kultem Słońca, z którym nota bene kult Nilu — świętej

rzeki był powiązany. To właśnie bogom, których postacie personifikowały życiodajne siły natury starożytni Egipcjanie wznosili gigantyczne świątynie, które do dziś zachwycają współczesnego człowieka swoim ogromem, inżynierską precyzją i pięknem. Są one wyrazem wielkiego szacunku jaki Egipcjanie żywili do sił natury, który niestety dziś jest prawie niezauważalny w Egipcie. W miejsce szacunku, jako postawy wobec Natury zaobserwować można brutalną eksploatację, której niesławnym symbolem stała się Wysoka Tama w Assuanie.

Pomimo tego niepokojącego zjawiska do Egiptu wciąż ściągają miliony turystów z całego świata, którzy ulegli czarowi Starożytnego Egiptu i zachwycili się jego współczesną egzotyką. Ciągłą więc nieprzeliczone tłumy „bogaty” z Północy i z Zachodu, obwieszane cudami najnowszej video-foto-techniki. Jest ich w „sezonie” takie mnóstwo, że potrafią oni zmienić po części oblicza takich miast jak Assuan czy Luksor, które wyglądają jak amerykańska choinka na gwiazdkę, ustrojone świecidełkami i kolorowymi lampkami. „Bogaci” są zwykle uśmiechnięci, krzykliwi i zadowoleni. Swoją sytością niezwykle kontrastują z apatycznymi, smutnymi Egipcjanami, którym nie udało się „być na usługach” u cudzoziemców.

Ale jest też inny, prawdziwy Egipt bez turystycznego makijażu. Jest to Egipt katastrofalnej nędzy i prawdziwie orientального luksusu, który nie zna umiaru. Ten kontrast nędzy i luksusu widzi się ot, tak na ulicy, co dzień, gdzie mijają się wypełnione śmieciem, ciągnięte przez osiołki wózki *zabalinów* (po arabsku *zabalin* znaczy *śmieciarz*) i błyszczące lakierem, chromem najnowsze „Mercedesy” miejscowych oficjeli. Ów obraz wzięty z kairskiej ulicy stał się niemal quasi-symbolem egipskiego społeczeństwa.

Europejczyka w Egipcie uderza natychmiast fakt niesamowitego bałaganu (w rozumieniu Europejczyka oczywiście), który jest wszędzie - na ulicy, w domach i urzędach, w środkach komunikacji, zwłaszcza tych stanowiących własność publiczną. Wydaje się jakby wszyscy Egipcjanie umówili się, że obowiązuje ich tylko jedna „złota” zasada - *pozwól żyć drugiemu, a resztę zostaw Allahowi*. I rzeczywiście wszędzie widać „palec Allaha”, bo życie współczesnego Kairu jakoś toczy się z dnia na dzień bez większych perturbacji, choć czasem niewinni ludzie muszą płacić najwyższą cenę za ten stan i wtedy jest to już rzeczywiście sprawa Allaha.

Cudzoziemcowi więc trudno jest tak od razu zaakceptować rzeczywistość Egiptu, szczególnie temu, który planuje zostać na dłużej. Aby to się stało, potrzeba czasu i wiele cierpliwości. Egzotyka arabska cieszy i bawi tylko przez 2-3 tygodnie, później staje się męcząca, by z czasem przemienić się w utrapienie. Grozi to każdemu, kto chce zachować swoją inność kulturową bez próby otwarcia się na inność Egipcjan. Proces ten jest niebezpieczny zwłaszcza dla człowieka, który z racji swej misji posłany jest wprost do ludzi, aby im służyć, aby pomagać w przewycięzaniu ograniczeń ich kulturowego, egzystencjalnego getta. Doprawdy potrzeba wielkiej miłości, by tego dokonać.

A Egipt rzeczywiście potrzebuje pomocy i to wielorakiej. Pomoc ekonomiczna to tylko jeden wymiar i to nie najważniejszy. Egipt potrzebuje przede wszystkim pomocy w wymiarze społecznym, kulturowym. Społeczność egipska rozdarta jest nierównościami ekonomicznymi, naznaczona jest otwartą raną dychotomii religijnej i w swoim wnętrzu podobna jest do niewygasłego wulkanu, który od czasu do czasu wybucha niepokojami społecznymi zakrytymi przez ideologów maską konfliktów religijnych.

Spółeczeństwo egipskie potrzebuje idei, która przemieniłaby je, która pozwoliłaby przewyciężyć wewnętrzny podział. Spośród wielu propozycji dwie są najbardziej znane. Jedna z nich związana jest z ideą selektywnego „otwarcia na Zachód”, której zwolennicy widzą ratunek dla Egiptu w technologicznej pomocy współczesnych potęg gospodarczych. Druga zaś to idea „powrotu do Koranu” związana z radykalnym Islamem. Zwolennicy idei „powrotu” nawołują do walki z dekadencją kulturą Zachodu, okrzyknawszy ją uprzednio jako dzieło szatana, stając w ten sposób na pozycji skrajnego fanatyzmu religijnego.

Fakty codziennego życia pokazują jednak, że ani idea „otwarcia”, ani idea „powrotu” nie jest tym poszukiwanym, optymalnym rozwiązaniem. Zaś obie wprowadzane w życie pogłębiają tylko społeczny chaos.

Ale są jeszcze w Egipcie zwolennicy innej idei, która właściwie nie jest ideą, a najrealniejszą rzeczywistością. Na razie oni czekają odsunięci na margines politycznego życia, czekają trwaniem pustyni, czekają na swój Czas umocnienia Wielką Obietnicą.

Ryszard Wtorek SJ

Napisane 29 Jumada, 1409 lat po opuszczeniu Mekki przez Proroka Mahometa, to jest 5 lutego 1989 roku po przyjściu Chrystusa na Ziemię.



LIST MISJONARZA

Ojciec Zygmunt Kwiatkowski SJ pracuje od początku lat osiemdziesiątych w Syrii. Pragnąc lepiej poznać duszpasterskie zmagania ojca Zygmunta, poprosiliśmy go o krótką opowieść w formie listu...

Tomku,

ucieszyłem się twoim listem, tym, że pamiętasz i że twoja pamięć jest taka przyjacielska i że jesteś „żywozny”. Przejawem powyższego jest np. propozycja napisania listu z misji, dla naszych rodzin i przyjaciół. Całe szczęście, że wspomniałeś formę listu. To przynajmniej nie przeraża człowieka, nie musi czekać jakiejś szczególnej psychicznej mobilizacji, po prostu siada i pisze, jak ja to czynię w obecnej chwili. Czy będzie to list nadający się do publikacji, zaraz zobaczymy.

Ulegnę trochę stereotypowi, że żywot misjonarza musi być barwny i pełen przygód, bo przecież takie są prawa i wymagania egzotyczności. Niechaj tym razem będzie zadość stereotypowi i napiszę o Bożym Narodzeniu 88.

W tym roku Damaszek „objął” Janusz Szymańczyk. Mszę polską (dla Polonii) odprawiał superior, Holender, po arabsku, ale wszystkie odpowiedzi były po polsku, a przede wszystkim zaś kolędy. Janusz wygłosił kazanie, które podobało się nie tylko Polakom, ale i superiorowi. To rzeczywiście wyczyn.

”Zluzowany” przez Janusza, w wigilijne popołudnie mogłem udać się do dwóch wsi maronickich, położonych w górach, żeby i ci ludzie mieli pasterkę tego roku. Pojechałem tam z pięcioma studentami i studentkami arabistyki z Warszawy, które znajdują się aktualnie na stażu w Syrii. Szczególnie zapaliłem się do tej inicjatywy po zorientowaniu się, że grupa bardzo ładnie śpiewa przy akompaniamencie gitary. Będzie to zatem obustronna egzotyka. Pasterka w obrządku maronickim dla Polaków, zaś dla mieszkańców obu wiosek - odwiedziny młodzieży chrześcijańskiej z Europy i śpiewy pieśni religijnych w egzotycznym dla nich języku i według egzotycznych melodii.

Studenci byli punktualni, na stację autobusową dotarliśmy na czas, trochę musieliśmy się pokręcić, żeby odnaleźć właściwy autobus. Nie chcieliśmy ryzykować dłuższego oczekiwania, dlatego weszliśmy do autobusu, który właśnie odjeżdżał, a ponieważ wszystkie miejsca siedzące były zajęte, musieliśmy stać. Arabowie pewnie sądzili, że to straszna dla nas tortura, przyzwyczajonych w Europie do wygody - nie wiedzą jednak, że i w Europie ludzie też się cisną do autobusów i nieraz braknie miejsca nawet dla stojących.

Podróż nie była zresztą długa. Nieco ponad godzinę. Najpierw jechaliśmy piękną autostradą, aby potem skrócić w kierunku ośnieżonych gór Libanu. Tutaj szosa była wąska, ale za to bardzo malownicza. Wysiedliśmy w Azejr. Tutaj będę odprawiał Mszę św. o północy. Teraz, póki jest widno, grzbietem górskim udamy się do maleńkiej miejscowości,

która nazywa się Ujun Szara. Nie mogliśmy jednak natychmiast tam wyruszyć, ponieważ zostaliśmy zaproszeni przez katechistów tutejszej miejscowości (kilku uczniów szkoły średniej) na jasełka. Opis jasełek to byłby cały nowy temat. W każdym razie temperatura spotkania od razu podwyższyła się o wiele stopni, kiedy okazało się, że gośćmi są cudzoziemcy z Europy. Śpiewy były głośniejsze niż zwykle, gra aktorów o wiele bardziej przekonująca, ale nie zadowolili się kibicowaniem z naszej strony, zwłaszcza, że widzieli, iż jeden z gości trzyma w ręku gitarę. Odśpiewaliśmy zatem kilka kolęd. Był to jednocześnie trening przed pasterką.

Opuszczaliśmy wioskę żegnani przez szczęśliwe z naszych odwiedzin dzieci. Było jeszcze trochę słońca, chociaż nadciągała ogromna, granatowa chmura. Szczyty Libanu płonęły nasłonecznioną bielą, niżej u stóp gór widoczne było z daleka morze. Dolina, wzdłuż której szliśmy górskim zboczem, była cała zielona, nawadniana przez cały rok przez strumień, który prezentował się naszym oczom jako spora rzeka. Na przeciwnym zboczach, już na terenie Libanu - bowiem strumień stanowi granicę pomiędzy Syrią i Libanem - przez całą drogę doskonale widoczny był klasztor. Stoi on na całkowitym odludziu, na wzgórzu, którego jedna krawędź ostro opada w kierunku rzeczułki, a druga w stronę głębokiego, zielonego jaru. Dwa pozostałe kierunki to las i ogród. Nie poświęciłbym chyba temu klasztorowi tyle uwagi, gdyby nie fakt, że zapisał się on w historii jako klasztor jezuitów. Jeszcze przed kilkudziesięcioma laty należał on do nas, stanowiąc miejsce pielgrzymek okolicznej ludności do cudownego obrazu Matki Boskiej (klasztor potocznie określa się mianem *klasztoru naszej Pani*). Było to jednocześnie strategiczne centrum naszych misji w tym regionie: szkoła - centrum duchowego promieniowania. Później jezuita oddali ten klasztor mnichom maronickim, uznano, że jest on zbyt odległy od nowoczesnych szlaków komunikacyjnych, nadto dla Syryjczyków dodatkową trud-

ność stanowi fakt, że jest to już terytorium libańskie. Mnisi w początkach wojny domowej w Libanie pomiędzy muzułmanami a chrześcijanami zostali napadnięci, zabici, a ci, co przeżyli napad - rozproszeni. Klasztor praktycznie stoi pusty, a tak dobrze mógłby pełnić funkcję domu rekolekcyjnego. Może kiedyś...? Jedna ze świątobliwszych osób przed śmiercią miała wygłosić prorocstwo, że jezuici wtedy nabiorą apostołskiego dynamizmu i będą odgrywać ważną rolę w tym regionie, kiedy ponownie staną się gospodarzami *klasztoru naszej Pani*.

Przyjście do wioski zaznaczone zostało biciem dzwonu. Od razu wszyscy się zorientowali, że tej nocy będzie pasterka w kościele. Oczywiście jeden i ten sam ksiądz nie może odprawić dwóch pasterek w dwóch różnych miejscach, w tym samym czasie. Pasterka zatem w Ujun Szara wyznaczona została na godzinę dziewiętnastą. Z pojawieniem się pierwszej gwiazdy do kościoła udała się tylko nasza polska grupa, na dwie kolędy, a pomiędzy nimi - krótką modlitwę, chwilę milczenia, wspomnienie bliskich i połamanie się opłatkiem i złożenie życzeń.

Potem była pasterka. Nastrój był szczególnie uroczysty, no bo chyba pierwszy raz w historii tej osady uczestniczyli we Mszy św. cudzoziemcy z Europy, a już na pewno po raz pierwszy cudzoziemcy samodzielnie śpiewali. Dzieciaki się nieustannie przepychały, chcąc być jak najbliżej obcych przybyszów, chociaż tym razem nawet ich zachowanie można by uznać jako znośne. Zwykle zupełnie nie mają pojęcia o Mszy św., a jedyna rzecz jaka absorbuje chłopców to kadzidło. Zajmując się nieustannie rozżarzaniem węgla czekają tylko na znak ze strony księdza, żeby podsunąć kadzielnicę by ten zasypał ją kadzidłem.

Po Mszy św. odwiedziliśmy dom chorego przewodniczącego komitetu kościelnego. Nastrój radości był tak duży, że

kiedy zabrano się do tańczenia „depki”, tańca podobnego trochę do greckiej „zorby”, to mało nie stratowano rekonwalescenta, który musiał się ewakuować wraz z materacem i pościelą w kąt izby. Na szczęście nie był tym stanem rzeczy w najmniejszym stopniu urażony. Przeciwnie, widać było, że jest szczęśliwy, tym bardziej, że wśród tańczących byli jego synowie i córki.

W tym czasie zaczął padać deszcz. Na dworze nic nie było widać. Ciężko byłoby nam powrócić do Azejr. Szczęśliwie był ktoś samochodem i zabrał nas ze sobą. Tutaj odbyła się pasterka o północy. Podobnie jak w Ujun Szara, do repertuaru Mszy św. maronickiej włączyliśmy kilka kolęd polskich. Na zakończenie miejscowi parafianie zmobilizowali się i pięknie odśpiewali storozżytny hymn maryjny, śpiewany szczególnie uroczyście podczas Mszy św. o północy jako przygotowanie do Bożego Narodzenia. Po Mszy św. czekały nas jeszcze odwiedziny, spotkania, i znów kolędy.

Nie wiem czy są osoby, które by w Polsce tyle kolęd śpiewały tej nocy, co my tutaj w Syrii. I jak tu mówić o egzotyce? Wszędzie jest Polska, gdzie my jesteśmy.

Taki budujący i patriotyczny obrazek listownie dzisiaj wymalowałem, ale to czar bożonarodzeniowej nocy jest „winnien”. Jak więc wieść gminna głosi, tej nocy ponoć zwierzęta domowe można posłuchać jak przemawiają ludzkim głosem - czemu się zatem dziwić, że Polacy po polsku śpiewają w Syrii, chociażby i na Mszy maronickiej?

ks. Zygmunt Kwiatkowski SJ

Hortus, 05. 02. 1989.



INFORMACJE

RZYM - O. Generał zaprosił wszystkich jezuitów, ich współpracowników, dobroczyńców, tych, którzy uczestniczą w ignacjańskiej duchowości i wszystkich, którzy są szczególnie złączeni z Towarzystwem, do obchodów 500 rocznicy urodzin Ignacego Loyoli i 450 rocznicy założenia Towarzystwa Jezusowego. Rok jubileuszowy rozpocznie się 27 września 1990 roku, na pamiątkę owego 27 września 1540 roku, kiedy to papież Paweł III zatwierdził Towarzystwo i zakończy się 31 lipca 1991 roku, na pamiątkę dnia, w 1556 roku, w którym Ignacy mógł wreszcie kontemplować twarzą w twarz swego *Stwórcę i Pana* (ĆD 5).

POLSKA - Z dwutygodniową wizytą w Polsce bawił sekretarz generalny Apostolstwa Modlitwy z Rzymu, O. John Vessels SJ. Wziął on udział w pierwszym ogólnopolskim zjeździe delegatów Apostolstwa Modlitwy, który odbył się w dniach 21 - 23 kwietnia 1989 r. w Czechowicach - Dziedzicach. Krajowy Sekretariat Apostolstwa Modlitwy znajduje się w Krakowie przy ulicy Kopernika 26. Kieruje nim O. Tadeusz Kiersztyn SJ.

KALISZ - Dnia 20 kwietnia 1989 roku odbyło się spotkanie naszych, zainteresowanych udzielaniem Ćwiczeń Duchownych. W spotkaniu pod przewodnictwem O. Rektora Jana Bartlewicza wzięło udział 13 ojców i 5 scholastyków. Celem spotkania była refleksja nad problemami rodzącymi się w związku z otwarciem dwóch domów rekolekcyjnych w Prowincji Wielkopolsko - Mazowieckiej.

RZYM, GDYNIA - Dnia 22 kwietnia 1989 roku uroczystą profesję 4 ślubów złożyli: O. Czesław ŁUKASZ w Rzymie i O. Stanisław WYTRĄŻEK w Gdyni.

WARSZAWA - Dnia 24 czerwca, w Sanktuarium św. Andrzeja Boboli, ks. bp Kazimierz Romaniuk udzielił święceń diakonatu i prezbiteratu naszym scholastykom. Święcenia prezbiteratu otrzymali: Jarosław Hebel i Marek Wiloch z Prowincji Wielkopolsko - Mazowieckiej. Natomiast święcenia diakonatu otrzymali: Andrzej Majewski, Grzegorz Marciniak, Józef Matyjek i Leszek Mądryk z Prowincji Wielkopolsko - Mazowieckiej oraz Marian Gołąb, Andrzej Nowak i Ludwik Zapała (z Kanady) z Prowincji Polski Południowej.

KRAKÓW - W dniach 3 - 27 sierpnia odbył się w Krakowie kurs języka angielskiego, który prowadzili współbracia z Europy Zachodniej, scholastycy: z Wielkiej Brytanii, z Irlandii i ojciec z Malty. W kursie tym wzięli udział, oprócz scholastyków z obu naszych Prowincji, dwaj współbracia - ze Słowenii i z Portugalii.

CZECHOWICE - DZIEDZICE - We wrześniu 1989 roku zorganizowano w Domu Rekolekcyjnym kolejny, X Kurs Duchowości Ignacjańskiej. Tegorocznym tematem było: *Roze-*

znawanie duchów w Ćwiczeniach Duchownych. W ciągu czterech dni wysłuchano dwunastu referatów, które były połączone z dyskusją, natomiast popołudnia przeznaczono na pracę w grupach.

RZYM - Papieski Instytut Biblijny w Rzymie obchodził na początku maja 1989 roku 80 - lecie swego istnienia. Założony został 7 maja 1909 roku przez Piusa X, który jego prowadzenie powierzył jezuitom. Tego samego roku, w listopadzie, rozpoczęły się już wykłady, najpierw w Collegio Leoniano, a potem w pofranciszkańskim gmachu przy Piazza della Pilotta, gdzie dotąd Instytut ma swoją siedzibę. Instytut Biblijny posiadał od początku podwójną misję: przygotowywania przyszłych profesorów od Pisma św. i prowadzenia badań w zakresie nauk biblijnych. W ciągu 80 lat przez mury Instytutu przewinęło się 5 tysięcy studentów (a ostatnio także i studentek). Doktorat z nauk biblijnych w Instytucie uzyskało 236 osób, a licencjat - 3900. Pośród uczniów Instytutu jest 21 kardynałów, 161 biskupów. Instytut posiada cenną bibliotekę, liczącą ponad 200 tys. tomów. Prenumeruje ponad 400 fachowych czasopism. Opublikował cały szereg pozycji, które są niezbędne do pracy naukowej (m. in. wydanie krytyczne Nowego Testamentu w języku greckim O. Merka SJ). Nakładem Instytutu ukazało się kilka gramatyk do biblijnych języków wschodnich, które są używane jako podręczniki we wszystkich uniwersytetach świata. W ostatnich 20 latach zmienił się profil studiujących. Tak jak kiedyś większość studentów pochodziła z krajów zachodnich, tak obecnie mają przewagę studenci z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. W roku akademickim 1988 / 89 w Instytucie Biblijnym w Rzymie studiowało 314 osób, pochodzących z 158 diecezji i z 51 rodzin zakonnych męskich i żeńskich, oraz 16 osób świeckich.

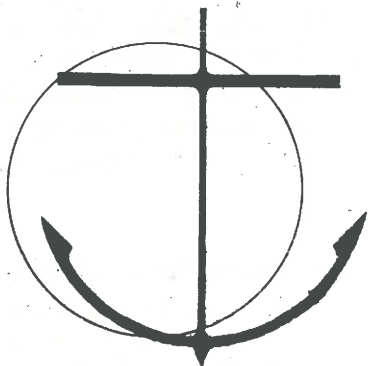
SZTOKHOLM - Ukazała się książka pod tytułem *Papież*. Jej autorami są szwedzki jezuita Lars Rooth i biskup ewangelicko - luterński Per Lönning z Norwegii. Ojciec Rooth, kierownik sekcji skandynawskiej Radia Watykańskiego, kreśli portret Jana Pawła II jako człowieka, filozofa i przywódcy religijnego. Bp Lönning pisze na temat znaczenia Papieża z perspektywy teologicznej. Per Lönning, zdecydowany przeciwnik powiązań Kościoła norweskiego z państwem, podał się w 1975 roku do dymisji na znak protestu przeciw uchwaleniu przez parlament norweski prawa o przerywaniu ciąży. Od 1987 roku bp Lönning jest znowu czynny jako biskup w Kościele norweskim.

CZECHOSŁOWACJA - Dnia 2 lutego 1989 roku odbyło się spotkanie kardynała Tomaška z prowincjałami oficjalnie nie uznawanych w Czechosłowacji zakonów: dominikanów, franciszkanów, jezuitów, norbertanów, redemptorystów i salezjanów. Kardynał zachęcił ich do rozwijania i wzmożenia życia wspólnotowego oraz do podjęcia na nowo zwyczaju noszenia, przynajmniej wewnątrz kościoła, stroju zakonnego jako znaku i świadectwa ich obecności. Prowincjałowie wyrazili dyspozycyjność i gotowość dalszej służby Kościołowi, i prosili kardynała o nieustanne używanie swych wpływów w celu prawnej legalizacji zakonów.

WĘGRY - W kwietniu 1989 roku bp Takacs ogłosił wszystkim wyższym przełożonym zakonnym, że mają prawo podjąć na nowo swoją misję. Zakony męskie mogą ponownie objąć swoje kościoły. Wszystkie zakony mogą otworzyć nowicjaty, a przebywający za granicą bez przeszkód powrócić do kraju. Dla Towarzystwa oznacza to odzyskanie Prowincji skazanej czterdzieści lat temu na wymarcie. 69 jezuitów będzie mogło podjąć normalne życie we wspólnocie. W najbliższym czasie

powrócą do kraju węgierscy jezuici (96 ojców, braci i scholastyków), do tej pory przebywający na obczyźnie, którzy pomogą w organizowaniu Prowincji. Nikt nie umie powiedzieć, jak trwałe są obecne rozwiązania i jaka jest gwarancja na przyszłość, gdyż jeszcze nie wydano żadnego prawnego dokumentu w tej sprawie.

WIETNAM - Ojciec Michał Nguyen The Minh SJ został mianowany delegatem do spraw Wietnamu. Towarzystwo odegrało ważną rolę w ewangelizacji Wietnamu przez organizowanie parafii. O. Buzomi i O. Alexandre de Rhodes dokonali „latynizacji” języka wietnamskiego. Po kasacie jezuitów powrócili do Wietnamu w 1957 roku. Obecnie żyje tam ok. 40 jezuitów - wszyscy autochtoni; w tym 12 ojców i braci. Na przełomie 1980/81 rząd skonfiskował ośrodek pracy *Alexandre de Rhodes* w Hoszimina. Aresztowano wtedy 7 ojców, którzy po procesie w 1983 roku zostali skazani na 2 - 15 lat więzienia. Obecnie w więzieniu przebywa tylko dwóch ojców, a zwolnieni nie mogą spełniać posług kapłańskich. Z siedmiu domów skonfiskowano pięć, w tym dwa z dobrze wyposażoną biblioteką. Pozostali jezuici pracują w rozproszeniu na różnych parafiach. Na życie zarabiają pracą na roli. Towarzystwo nie może prowadzić nowicjatu (opuszczenie miejsca zamieszkania nawet na 24 godziny jest niemożliwe bez specjalnego zezwolenia) ani kształcić scholastyków.



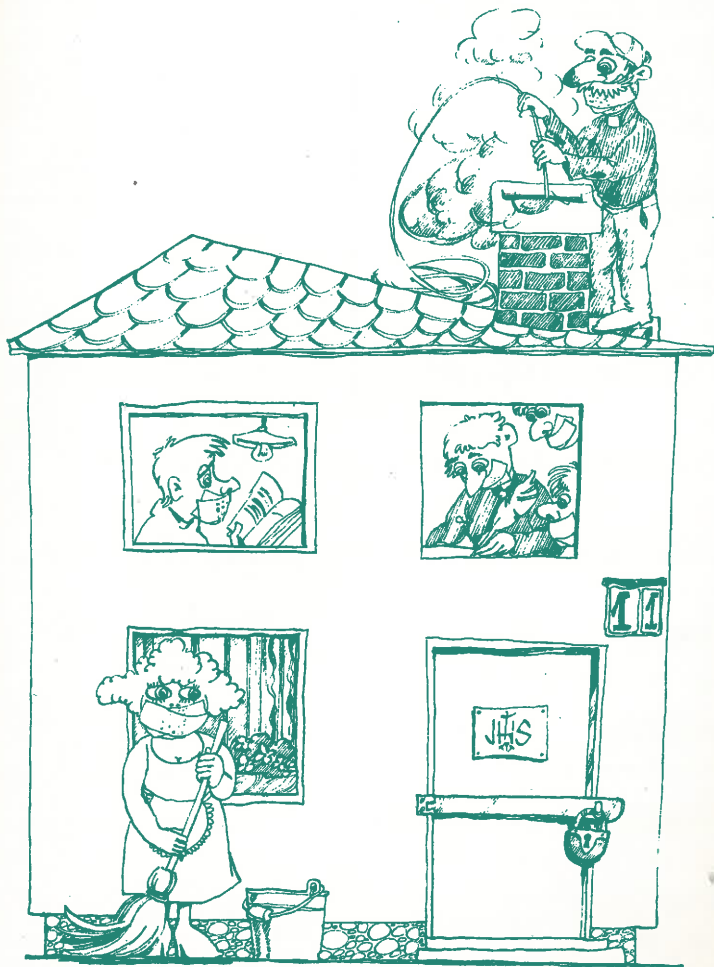
NASI ZMARLI:

1. **Br. Józef Bielec** (*Stara Wieś*) 82 lata, w zakonie 60.
2. **Br. Stanisław Borowiec** (*Czechowice - Dziejce*) 87 lat, w zakonie 68.
3. **O. Marian Chrobak** (*Stara Wieś*) 69 lat, w zakonie 51.
4. **Br. Władysław Krosnowski** (*Gliwice*) 84 lata, w zakonie 66.
5. **O. Eustachy Kuśmierz** (*Zakopane*) 70 lat, w zakonie 52.
6. **Br. Jan Łuczczak** (*Kraków*) 79 lat, w zakonie 53.
7. **O. Marian Małaczek** (*Radom*) 82 lata, w zakonie 63.
8. **O. Feliks Morawski** (*Piotrków Trybunalski*) 75 lat, w zakonie 32.
9. **O. Bronisław Natoński** (*Kraków*) 75 lat, w zakonie 60.
10. **O. Jan Rosiak** (*Gdynia*) 78 lat, w zakonie 61.
11. **O. Mieczysław Wasilewski** (*Szczecin*) 70 lat, w zakonie 53.
12. **O. Franciszek Wicha** (*Warszawa*) 79 lat, w zakonie 63.
13. **O. Antoni Ząbek** (*Święta Lipka*) 90 lat, w zakonie 72.
14. **O. Marian Żurowski** (*Warszawa*) 66 lat, w zakonie 43.

REQUIESCANT IN PACE



Ojca naszego Ignacego sentencje wybrane...



Trzy są sprawdziany pewnie domu zakon-
nego w dobrym stanie: jeżeli zachowuje się,
dokładnie klauzurę, schludność i regułę
o milczeniu.

Wiek jezuitów z prowincji polskich TJ

